OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 26 Lipca / 7 Sierpnia 1867 roku.

Nr 32. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

MADONNA MURILLA.

Zbliżam się do bramy pierwszego pawilonu Luwru, arcydzieła sztuki budownictwa Ludwika XIV na podstawie wzorów architektury korynckiej. Harmonija, spokój i czystość rysunku zatrzymują mnie mimowolnie, muszę stanąć, patrzeć i podziwiać. Zostałbym tak długo i patrzał długo, gdyby ciekawość i niecierpliwość nie szeptały mi, spiesz się, spiesz do środka, tam Raphael, Tycyjan, Guido-Reni, Corregio, Carlo Dolce, Rubens Van-Dyk, Rembrandt, witać cię będą; spiesz, bo może Madonna Murilla uleci do Nieba!



Madonna Murilla,—Niepokalane poczęcie Najświętszej Maryi Panny. (Drzeworyt Paryzki).

Do widzenia smukłe filary i kwieciste kapitele, do widzenia boski koryncie, zobaczę was przy świetle księżyca, który tak umie pieścić i cieniować, łagodzić i wypełniać łuki i stropy, osrebrzając tajemniczym blaskiem piękność waszą.

Przebiegam dziedziniec, wchodzę w podwoje drugiej bramy. Poważny i potężny, zadumany szwajcar, —jak olbrzym, stróż zaklętych skarbów, wskazuje mi ręką na lewo drogę po kamiennych schodach, — biegnę, mijam pierwszą salę nie patrzę odchylam różową kotarę i jestem w kwadratowej sali galerji obrazów Luwru. Cisza, uszanowanie

dla gieniuszu, który tu porozwieszał świadectwa bytu swego na ziemi, opromieniając wybrańców chwałą i niesmiertelnością.

Po prawej stronie od wejścia, przed środkiem bocznej ściany, większa gromadka ludzi: stoją zadumani, wpatrzeni, zdaje się zdziwieni. Mimowolne jakieś przeczucie, czy urok, ciągną w tę stronę,—podchodzę, poznaję to—Madonna Murilla! Czuję że należy paść na kolana, uwielbiać i bić pokłon gieniuszowi zachwyceniem, którego świat cały uznał!

Nie mogę, gniewam się na siebie, przykro mi, lecz nie potrafię. Zachwycenie moje rozwiało się, patrzę a oczarowany nie zostałem, mam się za profana, jestem smutny, lecz patrzę ciągle, — siadam na okrągłej kanapie stojącej w środku sali i jeszcze patrzę zadumany, nie wiem, czy o gieniuszu Murilla, czy o własnej nieudolności poczucia i zrozumienia piękna!

Powoli, powoli im dłużej patrzę, tem się więcej wpatruję, uroki z oczów spadają, piękność obrazu rośnie, gieniusz zaczyna się wychylać, podnosi się, wzrasta, promienieje, zwycięża i porywa!

Rysy wypełniają się pięknością i świętością, łączą się z sobą i tworzą harmonją zjawiska nie z tego świata.

Gieniusz objawia się wprawdzie i prostocie. Tam prawda jaśnieje ideałem piękna, a prostota świętością.

Na niebieskim kolorycie Murilla wśród tysiąca aniołków stoi swięta dziewica, jedną nogą przygniata lekki łuk księżyca, drugą opiera na załamie chmur, które aniołkowie podtrzymują. I ten piedestał nie zbyt lekki, bo dziewica tak podniesiona duchem, że zdaje się zwycięża ciało i do nieba leci, to też i aniołkowie nie męczą się dźwigając ciężar na pół przezroczy świetlanej mgły i białych chmur; wesołość, radość, niewinność z równą szczodrotą rozdzielone, panuje w uśmiechu i oczach tych niebieskich dzieci. Powabna rozmaitość główek, skrzydełek i miękkich różowych ciałek, jako gerlanda otacza wybrankę Boga.

Biała szata i obsłona niebieska, ręce złożone, włosy rozpuszczone spływają na szyję i ramiona, oczy w górę wzniesione—czujesz, że widzą niebo, usta uśmiechnięte tęschnotą i zachwytem blizkości Boga i Syna.

Nie wiesz co masz w tej twarzy uwielbiać: czy piękność ziemską, czy idealną boskość, czy niewinność lub miłość, zachwyt i tęschnotę; uwielbiasz to wszystko, bo znajdujesz tę harmonją połączenia, którą tylko gieniusz stworzyć potrafi.

Nie wiem jak długo siedziałem, a obraz rósł w pięknosci do niezgłębionych rozmiarów, zawładnął mnie i objął całego!

Jeżeli Madonna Sykstyna Raphaela w Galerji Drezdeńskiej, jako typ piękności ziemskiej połączonej z duchowym ideałem dziewiczości, pierwszym obrazem świata,—również Niepokalane poczęcie Murilla jest arcydziełem gieniuszu, objawionego na ziemi w tejże samej zgodzie piękności form idealnego rozkwitu duszy.

Słusznie powiedział Wiktor Hugo: „Wielkość gieniuszu porównywać ze sobą nie można, to góry które się wznoszą do możliwej ziemskiej wysokości, są sobie równi, gdyż dochodzą do najwyższych granic potęgi ludzkiej, zkąd krok jeden dalej a przestaliby być ludźmi, przewyższać się nie mogą. — Gieniusz to oceany, a i te mają swoją granicę.”

Słowacki zrozumiał tę potęgę indywidualną w sobie skończoną, niedającą się porównywać, gdy kończąc Beniowskiego pisał do Mickiewicza. „My jako dwa bogi na dwóch biegunach świata.”....

Marzyłem... jakże mnie zbudzono? Dwóch anglików z żółtemi faworytami, w pstrokatych suknach, usiadło tuż przy mnie: rozprawiają zawzięcie, kwestja idzie o wielkość obrazu, Jeden z nich utrzymywał, że ma tyle a tyle yardów [1]) długości, a tyle szerokości,—drugi zaś że ma mniej nierównie i dla tego Murillo tracił w jego oczach na wielkości. Młodszy z nich powstał, poskoczył do obrazu i zmierzył szerokość piędzią ręki, okazało się że zwyciężył i miał oko znawcy, co sobie sam przyznał.

„Lecz odgadnij wiele jest wszystkich główek aniołków na tym obrazie”—zwrócił uwagę starszy. I tu nie było zgody, obiecali sobie przyjść nazajutrz z lornetą i ściśle obliczyć.

Oto tak synowie wielkiego narodu, zapatrują się na sztukę; to pewno pomyślałem fabrykanci przywieźli na wystawę swoją bawełnianą przędzę i perkaliki, przyzwyczajeni mierzyć i rachować całe życie, i wszędzie szukają yardów i liczb.

Pomimo, że anglicy stają się swoją zbyteczną praktycznością i materjalizmem nie w porę często śmieszni, to przeciwnie angielki zyskują całą naszą sympatją. Ich strój orginalny lecz gustowny, układ naturalny a przyjemny, swobodny, bez kokieterji, pociąga ku sobie i wzbudza szacunek, — wykształcone estetycznie, z dziwną łatwością opowiadają swoje wrażenia, a sąd ich o sztuce jest trafny i z serca płynący.

Zbliżają się dwie młode dziewice Albionu: blondynka prawie popielata z niebieskiemi oczami, powadzi pod rękę starszą, białą, żółtowłosą towarzyszkę.

Podsłuchałem rozmowę, ach to nie ładnie, lecz uciekać nie chciałem, nie słuchać nie mogłem.

„Pozwól mi moja droga przed wyjściem, raz jeszcze spojrzeć na Madonnę Murilla,—mówi blondynka, może ją zapamiętam chociaż raz taką, jaką jest tu na obrazie piękną, skromną i tęschniącą, bo widzisz, ja te rysy i całość dobrze pamiętam, a wiele razy wrócę do obrazu i znów się wpatruję, ze smutkiem przyznaję, że moja zapamiętana nie taka, nie tyle piękna, nie tyle skromna i tęskniąca, nie taka święta, — patrzaj te oczy.... Muszę być nie dobra, nie czuła, bo dla czegóżbym nie miała takiej jaką jest pamiętać przynajmniej, jeżeli marzyć nawet nie wolno, aby w kopji przypomnienie zostawić.....

„O Ty moja nieszczęśliwa,—odrzekła starsza złotowłosa, nie rozpaczaj jeżeli dzieł gieniuszów nie pamiętasz we wszystkich pojawach piękności, a to tylko dla tego, że zapamiętać nie możesz, bo widzisz, mówił mi bardzo mądry poważny staruszek mój nauczyciel, że te arcydzieła za każdem spotkaniem zawsze inaczej na nas patrzą i jeszcze do przyszłego razu chowają niespodziankę, której w tej chwili nie widzimy. A tak jest wiele, że je objąć naszemi małemi główkami nie możemy, dla tego tak nas ciągną ku sobie i tęschnić każą. Patrzaj jest w nich jakaś głębia wielkości..... My tu

---

[1]) Yard angielska miara długości.

w obec nich takie malutkie, a jednak przeczuwamy potęgę dobra i cnoty — i widzimy jak ona jest piękna.

Zamyśliły się obydwie....

„Choćmy już,—przerwała milczenie starsza, bo nam przyjdzie ochota uciec za Madonną do nieba, a my przeciez córki tej ziemi może będziemy żonami, a może i matkami—dodała ciszej, więc i tu na ziemi żyć i pracować musiemy!”

Odeszły..... szczęśliwy kto będzie mężem tych dziewic, znajdzie w nich pracownice obowiązków dnia powszedniego, które jednak w sercach swych przeczucie nieba w dobrem i pięknosci przechowywać będą. I jeżeli sztuki piękne to tylko dają ludzkości? — jakże wiele dają.

Bartłomiej Stefan Murillo urodzony 1618 roku, umarł 1682. Na nim się kończy świetny szereg malarzy szkoły sewilskiej, i jako uczeń wywdzięcza się swym mistrzom,—zlewając część światła chwały swej i na nich. Kształcił się na Velasquez, podług Spaniolito i innych naturalistów.

W pierwszych jego obrazach widać jeszcze wpływ nauczycieli, lecz niezadługo gienialność orginalności wydobyła go z pod opieki i postawiła na szczycie; dla tego też Murillo jest jednym z najtrudniejszych do naśladowania—to cecha gieniuszu, pozostanie on typem i ideałem wskazującym drogę pochodu, lecz do tożsamości w naśladownictwie niepodobny. Trzeba być Murillem, oby tuż obok niego stanąć.

Stronę idealną, duchową—uczeń serca i pragnień duszy, tak umiał połączyć z pięknością form naturalnych, iż nieprzestaje być wielkim naturalistą w formach zewnętrznych, jak idealnym a prawdziwym w malowaniu uczuć wewnętrznych i to go robi pokrewnym z Raphaelem i to mu daje cechę wielkości.

Przez porównanie tylko poznajemy, oceniamy i wydajemy sąd, jaki w tych porównaniach zyskuje Murillo.

Przyglądać się kopjom pracowników w galerji i porównywać je w tej chwili z orginałami, jest to wielka korzyść, — uczymy się patrzeć i sądzić.

Tuż obok Madonny Murilla, stoją na podstawie dwie wielkie sztalugi, na nich rozpięte na ramach płótna. Przy jednej na schodkach, pełnoletnia dama w ciemno-wiśniowej aksamitnej sukni, maluje już aniołków i chmury, już Madonna, skończona; przy drugiej wesoły z rumieńcem staruszek, niebieską przesłonę cieniuje. A musi to być bardzo biegły malarz i bardzo dobry człowiek, może profesor, gdyż kopistki, te młode swawolnice i trzpiotki których tak dużo w Luwrze, ciągle mu przeszkadzają, odrywając od roboty ciągną do swych płócien, prosząc o pomoc i radę. Staruszek wszędzie biega, chwali, gani, poprawia, naucza — i niezmęczony powraca do swej Madonny.

Spojrzyjmy teraz już nie na staruszka, lecz na jego kopję. Jest w niej wszystko: taż sama Madonna, też aniołki i chmury i wszystko też same, nie brak ani jednego cienia, ani jednego włoska na głowie aniołka, a jednak tęschno ci i smutno patrząc na ten obraz, czujesz że jest sierotą, czujesz że nie ma tego ognia, który tylko jak Promoteusz, gieniusze wykradają z nieba. I staruszek wiele razy spojrzy na orginał i ze swą kopją go porówna, tyle razy smutnieje i głowę zwiesza. Pewno w duchu z poetą powtarza: „Kolorytu i światła Murilla! dajcie mi farby Murilla i jego powietrze!”

O tak... koloryt, światło, obecność i ruch powietrza, znowu Murilla z Raphaelem równają i do tak wysokiego stopnia wznoszą, że aż wnętrzne przedstawionych postaci rozjaśniają, a przedmiot zupełnie zrozumiałym, i pełnym uczucia czynią.

Odejmij choć troszkę z obrazu Murilla koloryt jego, a obraz zniszczysz,—tak zawyrokowała powaga estetyki. Czuł to staruszek, że nie miał obrazu Murillla, bo w kolorycie mu nie zrównał. Geniusz nie da się dzielić: albo jest cały, albo go nie ma.

Ciemno—wiśniowo aksamitna dama, inaczej widać sądziła. Naprzód Murillo powinen się czuć szczęśliwym, że go raczyła kopjować, gdyż spoglądała na orginał z dumą protekcji i łaski, a z uśmiechem na swoją kopję; czasem tylko rzucała okiem na płótno staruszka, z prędkością odwracała oczy aby nie zabrać znajomości, staruszek mógłby nie jedną prawdę powiedzieć, nie jeden błąd wytknąć, a dama tego widocznie nie znosi, bo gdy dwóch młodych, wesołych ludzi zbliżyło się do obrazu „Patrzaj na tę kopję —szepnął dość głośno jeden z nich pokazując na pracę damy,—Madonna musi być dobrze przez artystkę karmiona, bo jej tak wytłuściał policzek.”

„A może spuchła biedaczka” — dorzucił drugi. Słysząc to dama, tak wysoko pobiegła z impetem gniewu po drabince na której siedziała, że zupełnie krytykom zasłoniła aksamitną suknią twarz Madonny, a loki jej jak węże Meduzy drżały na ramionach swej pani.

Istotnie jest to wielka trudność oddania i utrafienia miary zaokrąglonego prawego policzka Murilowskiej Madonny,—do tego już trzeba tej sztuki kolorytu i światła. I to jest skopuł dla wszystkich miernych kopistów, o który rozbija się próba ich talentu.

Murillo mało po sobie zostawił obrazów. Do przedniejszych należą, w Galerji Monachijskiej: chłopiec żebrak sewilski, kwiaciarka, chłop, prządka; w galerji Drezdeńskiej: Ś-ty Jan (dziecko) z jagnięciem i siedząca Madonna z Chrystusem na kolanach. Ciemne jej oczy wzniesione tak patrzą, że w nich cała wielkość uczucia niezmierzonego przegląda, mówią że patrzy sercem i miłością; usta na pół otwarte malują ten urok zadumy, w której zdaje się duch tak wysoko ulatać, że go doścignąć nie można.

Nakoniec w Luwrze dwa Niepokalane poczęcia Maryi, z których jedno opisujemy, — Madonnę na sierpie księżyca.

„Już ja ci mówię sąsiedzie, że jeżeli chcesz ją zobaczyć tak jak żywą żeby odstawała od obrazu, to jedno oko zamróż, a drugiem patrz przez zwinięte w dudę rękę.”

Mowa polska i okazałe figury jegomościów, rozciekawiły mnie i zatrzymały.

Rada została przyjętą, —jedne oko wezwany zatkał ręką, a drugiem przez trąbę potężnej dłoni przyglądał się.

„A prawda, — wyrzekł jakby nie malowana tylko sobie koło obrazu stała, a dla czego tak odrazu nie malują, toć człowiek mniejby subiekcji użył.”

„Mówią, ba nawet piszą,—rzekł pierwszy, że ten obraz to arcydzieło, — chef-d'oeuvre jest w katologu.”

„Ładna bo ładna... ani słowa, ale żeby było takie arcydzieło, to jak mi Bóg miły nie widzę tego; siadajmy oto lepiej, jeżeli się tu za siedzenie nic nie płaci, bo tak te bestje Francuzy zdzierają za wszystko”....

„Ależ znowu, darmo dają patrzeć, a za siedzenie kazaliby płacić, — odpowiedział ten, który odkrył sposób patrzenia przez dudę ręki.

„A na Polach Elizejskich czy każą płacić? a przecież tam więcej do widzenia, a gdy ledwie usiądziesz zaraz przylata marmusella z torebką i woła, payer Monsieur, a bies ich tam zresztą zna z ich polityką.” Usiedli. „A któż ten Murill powiedzże mi.”

„W katalogu wydrukowane, że Hiszpan”—odpowiedział czytający.

„No i wielka sztuka, ojciec mi mówił, a przecież wiedział boć z Napoleonem Hiszpanów wojował, iż Hiszpanki takie ładne, że choć w ogień wleć za każdą, toć i odmalował i utrafił pierwszą lepszą, a ci co nie wiedzą, mówią że to arcydzieło.”

„Piszą,—ciągnął dalej uczony,—że ma coś świętego w sobie.”

„Przecież niepoświęcona, bo ludzie w kapeluszach przechodzą, a żaden głowy nawet nie uchyli, a gdyby była cudowna, toby ją do kościoła przenieśli i basta.”

„Soult [1]) obraz ten zabrał i do Francji odesłał.”

„Rabowali, bo rabowali ci Francuzi okrutnie i to wszędzie..... ojciec mój jednak wolał żywe jak malowane i mówię, że miał racją.....”

„Ale pokażże mi te obrazy mój drogi, na których Chrystus wodę w wino zamienia, co opowiadał nasz sędzia, że jak na ten obraz spojrzysz i zobaczysz jak gotują, jedzą i piją, to taki cię głód ogarnie, że sobie rady dać nie możesz, — a będzie w samą porę, bo i czas już na obiad.”

„Podobno to malowidło Paula Veronese, chodźmy, a spytam się po drodze.”

„Aby tylko nie daleko, bo tu można zabłądzić, jak sędzia mówił.”

Jakaż to prawda, że sztuka budzi tylko uśpione w sercu uczucia, podnosi je, ukształca i uszlachetnia.

O Madonno! w tysiącu oczach odbijesz się jak w nurtach niebieskiej wody, które popłyną dalej bez cienia, wrażenia i wiedzy. Jeden umysł na ten tysiąc zrozumię cię, jedno serce odgadnie, a jednak Murillu i tem już jesteś wynagrodzony!

Ignacy Maciejowski.

SERCE KOBIÉTY.

Czy znacie ten ogród czarowny na ziemi,
Gdzie rosną fijołki, gdzie błyszczą róż krocie,
Gdzie perły się iskrzą promieńmi jasnemi
I kwitną tajemnie cudowne paprocie?
Czy znacie ten Eden ukryty wśród świata,
Pod puchem łabędzim, pod śnieżnem zamknięciem,
Gdzie grono tęczowych aniołków przylata
I rozkosz sprowadza nadziemskiem zaklęciem,
I z listków różanych, z złocistych promieni,
Z niebiańskich piosenek—z brylantów jasności,
Z świergotu strumyków, z wiosennej zieleni,
Zwijają i stroją koronę miłości —
Znacież wy ten ogród, znacie śmiertelnicy?..
— To serce dziewicy.

Czy znacie ten balsam, co w strasznej godzinie
Gdy dusza aż mdleje, gdy każdy cię mija,
Gdy nawet łza gorzka wyschnięta nie płynie,
Gdy myśl już na tobie nie spocznie niczyja, —
A ty się oglądasz i szukasz dokoła,
Czy jeszcze ci jaka skąd gwiazda nie zleci,
Czy Bóg ci nie zeszle jakiego anioła
I czarnych zadumek wiarą nie oświeci?..
Ach! takim aniołem, tą gwiazdą zbawienia,
Balsamem gojącym zatrucie cierpienia. —
To płomień, to szczęście najtrwalsze, jedyne....
— To serce matczyne.

Franciszek Gumowski.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

NAPISAŁ

Wołody Skiba.

Niejeden z czytelników naszych zna pewno Karpaty, to jest odbył kilkodniową wycieczkę w Tatry, zwiedził Nowotarską dolinę, był w Kościeliskach, wdrapał się na Pyszną, Giewont, Łomnicę lub na innym jakim szczycie widział juchasów i pokosztował żętycy, zobaczył Morskie Oko, pływał łódką po Dunaju, wziął parę kąpieli w Szczawnicy, usłyszał kilka podań góralskich o zaklętych skarbach i o opryszkach i już sądzi że poznał Tatry, a nawet biorąc cząstkę za całość,—Karpaty. Kto inny znowu zaszedł na nie od Kołomyi i u źródeł Czarnego i Białego Czeremoszu szukał tych wrażeń, jak ów nad brzegami Czarnego i Białego Dunajca. Inni zajrzeli na Bieskidy, lecz takich coby znali w całym przebiegu pasma Karpat w obrębie Galicji i Bukowiny, podobno nie szukać u nas. Dla niejednego hucuł a Podhalanin to jedno; wielu gdybyśmy zapytali: jaką też przestrzeń mogą obejmować razem wzięte góry oddzielające Karpaty od Węgier? toby najśmielszą mierząc je wyobraźnią dziesiątej nawet części mil kwadratowych najeżonych niemi nie wymienili. A cóż dopiero mówić o górach położonych na węgierskiej stronie?.... te są zupełnie ziemią nieznajomą, i ci nawet co znają Węgry, dostają się do nich wygodniejszemi drogami, a nie przez góry.

Nie mamy zamiaru robić nikomu zarzutu z tej nieznajomości wyżyn Karpackich, nie chcemy też tu pisać traktatu o górach, ani nikogo brać na egzamin z jeografii Galicji. Jesteśmy pod tym względem wyrozumiali i pobłażliwi i wiemy dobrze, że nieskończenie pilniejszem i potrzebniejszem jest poznać Alpy niż Karpaty już dla tego samego, że góra Biała (Mont-Blanc) w Alpach, jest znakomicie wyższą od Czarnej Góry w Karpatach. Posuwamy naszą względność w tej rzeczy tak daleko, że pewnej pani sąsiadce naszej, mającej pretensją do *niepospolitego* wykształcenia, gdy na żaden sposób zrozumieć nie mogła, że list z nad Dniestru może być listem z Galicji, odpowiedzieliśmy tylko:

— Nic to nie szkodzi, że pani nie wiesz zkąd i którędy płynie taki tam strumyczek jak Dniestr, byleś pani tylko wiedziała że kiedy list jest z nad Sekwany, to jest niezawodnie.....

— Z Paryża, — przerwała owa niepospolita osoba.

Ta pani widocznie ma przekonanie, że nad każdą

---

[1]) Soult, Marszałek Francji za Napoleona I-go, naczelny wódz wojsk francuzkich w Hiszpanji 1812 roku.

rzeką znajduje się jedno tylko miejsce, z którego listy pisać można.

Wracając z nad Sekwany do Karpat, wyznać potrzeba że są jednakże choć nieliczni ludzie, co z Galicji nie szukają dogodniejszej drogi do Węgier jak przez góry.

Takim jest pieszy wędrowiec, którego w tej chwili spostrzegamy na tle górskiego krajobrazu. Postępuje on równym krokiem z tłómoczkiem na plecach, wązką ścieżką, której jedną stronę stanowi stromo pnąca się w górę skała, a z drugiej oko swobodnie bujać może po nad zarosłą gęstemi świerkami doliną.

Wyszedł na wynioślejsze nieco miejsca drożyny, mając przed sobą widok jakiego chyba w Alpach w orginale, a w Szwajcarji saskiej w minjaturze, szukać by trzeba. Las świerkowy u jego stóp wydaje się jak posępna otchłań, niezbadanemi zaludniona tajemnicami. Oko nie zmierzy jego głębi i zagadki pod nim się domyśla. Po za tym lasem którym zarósł wąwóz, piętrzą się w dali majestatycznych kształtów góry coraz wyższe i mglistsze, aż ostatniej królującej nad niemi, od chmury odróżnić niepodobna. Są to niby wschody do nieba coraz wyższe i wyższe, aż ostatni z nich najdalszy tonie w szarem sklepieniu i ten ktoby się wdrapał na jego granitowe śnieżnym wieńcem przybrane czoło, już zapewne miałby pod swojemi stopami nie zielonym płaszczem przystrojoną naturę, lecz eteryczne jak niezmierzonego morza mgły.

Wędrowiec o którym mówimy, mało zwracał uwagi na piękność tego pysznego krajobrazu. Wydostawszy się na takie miejsce drożyny, że z niego królował nad okolicą i mógł ją całą objąć spojrzeniem, rozejrzał się dokoła ale tym wzrokiem, który widocznie nie chce korzystać ze sposobności ogólnego rzutu oka, lecz tu i owdzie się zwraca, szukając jakiegoś szczegółu w obrazie, zdając się przeczuwać i odgadywać ten szczegół i obawiać go się przedwcześnie.

— Do djabła! — mówił do siebie, — kto by tam te ścieżki górskie wyrozumiał. Ta miała prosto iść do wioski...... za godzinkę drogi miał mi ukazać się uczepiony na krawędzi góry kościołek i służyć za dalszy drogoskaz, ale godzinka trwa od rana, słońce już jest wysoko, a kościołka ani widać!... Gdybym był pierwszy raz w górach myślałbym, że mnie w pole wywiedli gadając o owym kościołku, ale to już taki przeklęty kraj... wszędzie daleko, chociaż na mappie wszystko jedno obok drugiego a nawet jedno na drugiem.

Dróżyna którą szedł, zniżać się zaczynała. Dla widza któryby patrzył na niego z innej wysokości, zdawałby się on powoli zanurzać w lesie, który co tylko miał pod stopami. Znikał jednak powoli i znaczny uszedł kawał nim się zanurzył zupełnie w pośród dwóch ścian, któremi teraz las ograniczał jego drogę. Widocznie spadek ścieżki którą szedł, był powolny i nie męczący w tem miejscu.

Gdy się zobaczył znowu pod osłoną lasu i obejrzawszy się spostrzegł, że jakkolwiek ledwie przed chwilą był widzialnym dla każdego, ktoby uzbrojonym w szkło okiem rozpatrywał się po okolicy z jakiej wyniosłości, teraz przecież mógłby być dostrzeżonym chyba przez ptaka przelatującego mu nad głową, uśmiechnął i rzekł do siebie:

— Wolę doprawdy, że jestem tutaj schowany jak w poduszkach, gdzie żeby mnie zobaczyć, trzeba chyba na chmurze płynąć, niż tam przed chwilą, gdzie z każdego wzgórza po parze oczu patrzyć na mnie mogło. Choć zresztą w gruncie to mi wszystko jedno, ci co mieli interes patrzyć zamną, nie na Karpaty pewno patrzą... Jaką ja wyborną myśl miałem puszczać się tędy, którędy chodzą tylko ludzie którym nie pilno i których na wygodniejszą drogę nie stać. Doprawdy miałem wyborną myśl!... Gdybym już był o sto mil, nie wiem czybym mógł być taki spokojny jak tu kiedy jestem o dziesięć. Bądź co bądź, trzeba zastanowić się poważnie nad dalszem mojem położeniem.... Czy się wydostać z tych gór na równiny, czy w górach jeszcze po węgierskiej stronie poszukać sobie jakiego ustronia i dać czas ludziom żeby zapomnieli o Mrożku, lub bez czekania na to pędzić dalej?...

Wymówiwszy prawie półgłosem swoje nazwisko, podróżny obejrzał się dokoła, jakby obawiając się czy nie był przez kogo podsłuchanym.

Przypadek chciał, że właśnie w tej chwili dróżyna którą szedł, załamaływała się nieco ostrzej i znajdując się na jej skręcie, wędrowiec nielubiący nazbyt szerokiego widoku, zobaczył postać ludzką i wdrygnął się mimowolnie.

— Oho! nie podróżuję sam,—rzekł do siebie — miejmy się na baczności, jakiś... turysta.

Wistocie ubiór mężczyzny, który okazał się oczom wędrującego z takiemi myślami Mrożka, odrazu mówił, że nie był on mieszkańcem tych gór, lecz przybyszem z dolin, o ile się zdawać mogło szukającym na wyniosłościach rozrywki, wrażeń, a może nauki. Po kroju sukni i po rysach twarzy domyślać się było można, że przybył w Karpaty nie od węgierskiej, lecz od polskiej strony. Ubranym był dosyć lekko, lecz ubranie wskazywało człowieka dobrego bytu, torba jego podróżna nie była wielka, lecz to prędzej przypisać było można chęci ulżenia sobie ciężaru niż brakowi.

W chwili kiedy go zobaczył Mrożek, podróżny ów nie szedł, lecz zmęczony może długą i pod górę prowadzącą drogą — tak przynajmniej sądził Mrożek, któremu zrazu się zdawało że spotkany iść musiał w przeciwnym jemu kierunku — usiadł pod drzewem dla chwilowego zapewne spoczynku, i wsparłszy łokieć na swej torbie a głowę o dłoń i o drzewo, w takiej niezbyt wygodnej pozycji zadrzymał. To było przyczyną, że nie mógł być prędzej dostrzeżonym przez Mrożka jak z odległości kilkunastu kroków.

Dochodząc do nieznajomego, człowiek którego nazywamy Mrożkiem, tak jak się sam nazwał, starał się chód swój uczynić najcichszym i przejść koło niego w ten sposób, ażeby go nie obudzić.

— Szczęście, że śpi—myślał—najdyplomatyczniej będzie nie wdawać się z ludźmi nietutejszymi, chociażby nawet przybywali od Węgier.

Wymijając nieznajomego, Mrożek ciekawie rzucił okiem na jego twarz.

— W moim wieku, — mówił sobie znów w duchu — włos ciemny tak jak u mnie, wzrost średni, twarz podłużna, czoło wysokie, usta małe... rysopis zupełnie taki jak mój.... gdyby tylko oczy były siwe jak moje, mógłbym wybornie podróżować za jego paszportem.

Uszedł kilka kroków, później stanął i obejrzał się raz jeszcze.

Wistocie rysopis Mrożka zgadzał się z rysopisem nieznajomego, chociaż bliżej się rozpatrzywszy, tru-

dno ich było wziąść za podobnych do siebie. Twarz ludzka nie charakteryzuje się tylko tem czem ją rysopisy urzędowe charakteryzyją: każdy jej rys, każda linja, każda wklęsłość albo wypukłość, każda cień, dają inną charakterystykę fizjonomji; rysopisy zaś urzędowe znają tylko kilka gatunków nosów, kilka kolorów oczu i włosów i parę zakrojów podródka. Ztąd pochodzi, że jeden i ten sam rysopis przypadać może tysiącu osobom, które chyba ktoś nieznający ich zupełnie, mógłby wziąść jedną za drugą. Mrożek i nieznajomy byli więc urzędownie podobni, chociaż twarz jednego i drugiego wcale innym przemawiała wyrazem. Jeden i drugi mógł mieć około lat trzydziestu; obaj mieli włosy ciemne, choć Mrożka były cokolwiek ciemniejsze; twarz owalna, chociaż u nieznajomegc dolna jej część była znacznie węższa od górnej, gdy u Mrożka przeciwnie dolna część twarzy rozrastała się szerzej. Rzeczywiste podobieństwo kształtów nosa, który obydwaj mieli niewielki i regularnie nakreślony, podobieństwo dość blizkie budowy czoła i wszystkie inne zbliżenia, jakieby naupartego dostrzedz było można, znikały zupełnie, bo każdy z rysów podobnych w obydwu twarzach nabierał odmiennego wyrazu przez to, że owal jednej zwężał się ku dołowi, a owal drugiej zwężał się ku górze.

Mrożek, jak już powiedzieliśmy, obejrzał się raz jeszcze i przypatrywał nieznajomemu, powtarzając w myśli:

— Ciekawym jakie ma oczy?

Koloru oczu jednakże dostrzedz nie było można bez obudzenia nieznajomego, i Mrożek namyślać się zaczął czy go obudzić czy iść dalej.

— Ba! — rzekł po niejakiej chwili — na coby się wszystko przydało?..... Wszakże on od Węgier iść musi i tak ma zapewnie w paszporcie, a mnie w przeciwną stronę droga. Niech sobie drzemie.

I z pewnem niezadowoleniem zrobił kilka kroków naprzód.

—Czemu koniecznie ma iść od Węgier?—pomyślał.

Wątpliwość ta wydała mu się słuszną. Stanął znowu.

— W każdym razie czy z tej czy z tamtej idzie strony bać go się nie mam co. Choćby nawet szedł z tego samego miejsca co ja, musiał przecież wyjść wprzód odemnie ponieważ się tu już dostał, bo ja przecież nie traciłem czasu po drodze. Wypada zaś nie szukać znajomości tych tylko co po mnie opuścili doliny, a jeszcze bardziej takich, co się *za mną* puścili w góry!..... jakkolwiek wątpię, żeby był kto taki..... Ten jegomość nie zdaje się należeć ani do jednej ani do drugiej kategorji, ztąd wynika, że nic zupełnie nie zaszkodzi jeśli zobaczę jakie ma oczy.

Nieznajomy musiał być bardzo znużonym, spał bowiem twardo i zapewne długoby czekać wypadło, aż się sam nareszcie obudzi. Mrożek widać czekać nie miał ochoty czy nie mógł, gdyż zrazu zdecydował się na obudzenie śpiącego i już nawet wyciągnął rękę w tym celu, ale zatrzymał ją w pół drogi.

— Po co ja mam go budzić?.. niech on mnie obudzi — rzekł do siebie.

Słowa te byłyby zupełnie zrozumiałe, gdyby ich nie tłómaczyły następne zaraz czynności Mrożka.

Obrawszy miejsce tuż obok nieznajomego, Mrożek ułożył swój tłómoczek na ziemi, usiadł przy nim, położył się następnie, wystudjowawszy postawę najodpowiedniejszą śpiącemu, zamknął oczy i zaczął udawać że śpi, ale zaczął od tego, że się przewrócił na drugi bok, a przewracając się dosyć silnie uderzył ręką w łokieć, na którym był wsparty nieznajomy.

Uderzenie było dobrze wyrachowane, naruszyło bowiem równowagę pozycji w jakiej się znajdował nieznajomy i musiało go obudzić. Obudziwszy się nieznajomy przetarł oczy i z pewnem zadziwieniem spostrzegł, że miał towarzysza spoczynku.

— Jakiś człowiek — pomyślał—położył się koło mnie i zasnął. Delikatny, bo mnie nie budził poczciwy, bo mnie przecież miał w swojej mocy i mógłby zrobić coby chciał, a przedewszystkiem obrać z pieniędzy; ufający, bo tym sposobem mnie się oddał na łaskę i niełaskę. Dobry jakiś człowiek.

Nabrawszy takiej opinji o Mrożku, nieznajomy zaczął mu się przyglądać i po krótkiej chwili dodał w myśli:

— Dobry, chociaż-... niemiły!..... Bądź co bądź trzeba puścić się dalej, bo słońce już dobrze się podniosło, a że ten poczciwiec kładąc się tutaj miał widać ochotę iść razem ze mną, wypada mi zatem go obudzić i powiedzieć mu, że czas w drogę.

I stało się tak jak powiedział Mrożek,—nieznajomy zaczął go ciągnąć za rękaw i budzić.

Mrożek przez parę chwil udawał zaspanego, potem rozbudzając się niby, otworzył jedno oko, uniósł głowę cokolwiek i spytał:

— A co tam?... Ach to pan, wędrujący po górach... Ja przyznam się panu, bałbym się tak zasypiać sam jeden na drodze i trochę mię obawa wzięła o pana. Więc siadłem przy panu i powiedziałem sobie, że będę czuwał nad panem dopóki się pan nie obudzisz. Ale natura mocniejsza od człowieka, i pańskie uczucie bezpieczeństwa udzielić mi się widać musiało bo wkrótce usnąłem i obaj bylibyśmy mogli stać się pastwą opryszków.

— Pan wierzysz w opryszków? — rzekł nieznajomy.

— W miejscowości tak dla nich dogodnej jak te góry ani przypuścić niepodobna, żeby ich nie było, — odpowiedział Mrożek.

— Mimo to jednak, opryszki już przeszli do romansów i legend. W Karpatach zdarzy się czasem kradzież, ale o rozboju nie słychać i artysta przebiegający góry, zdejmując widoki, których tu co krok tyle się napotyka, jeżeli chce krajobraz przybrać rozbójnikiem to go musi chyba stworzyć z własnej chyba fantazji, bo żywego nie zobaczy z pewnością.

Podczas gdy nieznajomy mówił te słowa, Mrożek patrzył mu w oczy, szukając w nich zgodności z swoim rysopisem. Przypadek chciał, że oczy miały barwę dosyć zgodną z jego oczyma, co byłoby zapewne ucieszyło Mrożka, gdyby nieznajomy nie zaczął mówić o artystach.

— Hm! jeśli jest artystą, to już i znak szczególny, co całą rzecz psuje—pomyślał.

I chcąc natychmiast wątpliwość swoją usunąć, rzekł porzucając zaczętą o opryszkach rozmowę.

— Pan jesteś artystą z powołania?...

— Bynajmniej panie, chociaż lubię sztukę —odpowiedział nieznajomy,—amatorstwo moje ogranicza się na podziwie tego co piękne, do twórczości wznieść się nie mogłem. Czasem zdarza mi się naszkicować coś z natury, ale gdy się potem okiem rozwagi przyjrzę mojej pracy, to najczęściej rwę ją w kawałki i łamię ołówek na długo.

Odpowiedź ta zgadzała się widać z tajemniczemi planami Mrożka, usłyszawszy ją bowiem, nie dopy-

tywał się już więcej, tylko rozmowę zwrócił w ten sposób, jakby chciał się oddalić skończywszy swoję missją pielęgnowania nieznajomego podczas snu.

— Teraz panie, komu w drogę temu czas — odezwał się, —w którąż stronę pan się puszcza?...

Nieznajomy pokazał ręką w górę.

— Chcesz się pan wdrapać na tę skałę?—zawołał Mrożek,—ależ to i niebezpieczne i nieciekawe.

— Niebezpieczne być może, ale żeby miało być nieciekawe tego nie powiem. Patrz pan jaki cudny już ztąd jest widok, cóż to dopiero będzie gdy się dostanę na wierzchołek? Zresztą o ile mi opowiadano, wkrótce tu znajdzie się miejsce, z którego wyjście na wierzch nie przedstawia żadnej trudności. Wysokość góry ztąd do szczytu nie ma pewno więcej jak jaki tysiąc stóp, a wracać tędy nie ma potrzeby, bo drugą stroną dostać się można do jeszcze piękniejszych i lepiej zamieszkałych stron.

— Doprawdy — odpowiedział Mrożek,—jest to droga, na której odbycie samotne nigdybym się nie odważył. Nie żartuje się z okolicą pełną urwisk i przepaści; lada pośliźnięcie się nogi, przypłacił można obsunięciem się i spadnięciem głową na jaką skałę z kilkuset stóp wysokości.... Mimo to pańska śmiałość dodaje mi odwagi tak jak przed chwilą pańskie uczucie bezpieczeństwa ośmieliło mnie do zaśnięcia, i gdyby to nie było narzuceniem się z towarzystwem, poszedłbym z panem....

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przyrząd do oświetlania gazem atmosferycznym.

Wiele zakładów fabrycznych pooświetlało swe warstaty gazem, produkowanym z węgla kamiennego lub drzewa. Tutejsze fabryki jak wiadomo korzystają z miejskiego oświetlenia, położone zaś zakłady w odległych stronach korzystać z tego udogodnienia nie mogą; również w niekorzystnych warunkach znajdują się fabryki na prowincjach i pomniejsze miasta.

Otóż niejaki p. Marcus mechanik, wynalazł taki apparat, w którym można wyrabiać z nafty gaz.

Przyrząd ten podobny jest do małej szafy ogniotrwałej, opatrzony mechanizmem który ciężar porusza.

Apparat Marcusa składa się z dwóch części, a mianowicie przyrządu Fig. 2, który zawiera płyny węglowodorodowe i przyrządu Fig. 1, którego zadaniem jest powietrze mające się nasycać węglowodorodem, dostarczać jednostajnem ciśnieniem do apparatu N. 1, a ztamtąd przerobione już na gaz atmosferyczny, wyprowadzać albo wypychać do rur rozprowadzonych po zakładzie lub pokoju. Tak się aparat w ruch porusza: Otworem *m*, hermetycznie zamykającym część aparatu, drugą zwaną karbonizatorem wlewa się płyn. Kurek *n*, otwiera się jednocześnie przy napełnianiu karbonizatora, a skoro przez ten otwór zacznie kapać płyn, należy zaprzestać dolewania i zamknąć obydwa otwory hermetyczne *m* i *r*. Zegarkowy werk *s* za nakręceniem korbą wprowadza cały aparat w ruch, a ruch ten dokonywa dalej ciężar zawieszony na bloku *f*, a połączony sznurem i walcem werkowym. Nakręcony korbą apparat zaczyna działać: otwierają się krany u obydwóch rur przez rurę *g*, płynie powietrze z dolnego apparatu wchodząc do karbonizatora przy *h*, a po drugiej stronie wychodzi do rury głównej już jako gaz atmosferyczny. Za pomocą kranu *l*, można wstrzymać działalność apparatu a raczej wytwarzanie gazu, przerywając przypływ powietrza. Taki jest główny przebieg fabrykacji. Przy dzisiejszych cenach nafty, kosztuje jedno ognisko czyli jeden płomień zwyczajny 1,04 kop. na godzinę, gdy obecnie takiż płomień gazu z węgla kam. kosztuje $1^5/_6$ kop.

Przyrządy wyrabiane są od 5 do 60 płomieni i stopniują się od 10 do 20 płomieni tak, że niemi i większe zakłady oświetlać można.

W Kantorze pp. Kraft i Kuksz przy ulicy Długiej N. 586-*b*, którzy mają wyłączną sprzedaż apparatów patentowanych i podejmują się całego urządzenia oświetlenia gazem atmosferycznym, można w dni powszednie wieczorem oglądać apparat oświetlający lokal powyżej wymienionej firmy.

ROZMAITOŚCI.

— **O rzeczach zgubionych.** Kurjery nasze pełne są zawsze doniesień o rzeczach przez nieostróżnych właścicieli na Warszawskim bruku zgubionych, z przyrzeczeniami wdzięczności słównej lub brzęczącej. Przeciwnie bardzo mało znajdujemy doniesień o rzeczach znalezionych, po które właściciele zgłosić się mają.

To nam dowodzi jak słabe jeszcze są wyobrażenia o prawie własności; zdaje się jakoby poczytywano zatrzymywanie znalezionej rzeczy za wypadek losowy, z którego bez skrupułu korzystać można, nie zaś jako prostą *kradzież*, którą wszystkie religje potępiają i na którą wszystkie kodeksa hańbiące przepisują kary.

Dla wykorzenienia tego nałogu czyli raczej występku przywłaszczania cudzej własności, potrzeba aż całe powieści ułożyć takie np: jaką jest: ,,Czerwony Afisz" w Kalendarzu Domowym za r. b.

Trzeba więc, aby wszystkie organa publiczne przeciw temu uprzywilejowanemu bezprawiu powstawały i przypominały jak najczęściej: iż znalazca zgubionej rzeczy nie jest czem innem, jak zwyczajnym złodziejem i kandydatem do prochowni, jeżeli natychmiast po znalezieniu rzeczy zgubionej, nie używa wszelkich środków by się ona dostała w ręce właściciela.

Środki te nie są ani kosztowne ani z utratą czasu połączone, nie potrzeba więcej jak złożyć rzecz znalezioną w jednej z Redakcji Gazet tutejszych, lub do głównej władzy policyjnej. Rozumie się iż bezwzględna wartość przedmiotu w takim razie, powinna być dostateczną na pokrycie kosztów ogłoszenia. Właściciel zaś z swojej strony chcąc uzyskać swoją zgubę, winien ogłosić ją także w jednej lub kilku gazetach przy podaniu swojego adresu. Rzeczą znowu Redakcji jest, aby takie ogłoszenia uważać za równie ważne jak o *rzeczach skradzionych* i winny by utworzyć przy wiadomościach urzędowych dwie rubryki oddzielne: jedną na *rzeczy zgubione*, a drugą na *znalezione*. Dwie rubryki przez wszystkie Gazety codziennie czytywane, staną się wtedy wskazówką do odkrycia zguby.

Objaśnijmy tę prawdę przykładem. Dajmy na to iż ktoś zgubił pugilares zawierający pewną ilość pieniędzy, tudzież papiery wielkiej wartości ale tylko względnie dla właściciela. Ten niezwłocznie ogłosił zgubę z przyrzeczeniem wynagrodzenia, ale bezkutecznie. Przyjmujemy dalej, iż *poczciwy znalazca* tego pugilaresu wyjął pieniądze dla siebie, a pugilares z papierami podrzucił dajmy nato, w miejscu przez publiczność liczniej uczęszczanem. Właściciel zaś tego zakładu zamiast udawać się do władzy, bo Redakcja żadna nie chciała łożyć kosztów na ogłoszenie papierów bezwzględnej wartości nie mających, wypytywał się swoich gości czy zguba do nich nie należy lub czy nie znają bliższego adresu właściciela, którego imienia i nazwiska po papierach domyślać się było można; przypuśćmy iż jeden z tych gości który istotnie znał właściciela oświadczył ostatniemu, iż wie gdzie są jego papiery i że mu to miejsce wskaże za opłaceniem pewnej kwoty. Tak więc właściciel wprawdzie odzyskałby zgubę, ale po stracie

swoich pieniędzy i licznych kosztów ogłoszenia i dopiero po upływie długiego czasu, gdy papiery te już straciły połowę swej wartości, skutkiem czego być mogło iż z zgryzoty zachorował i umarł.

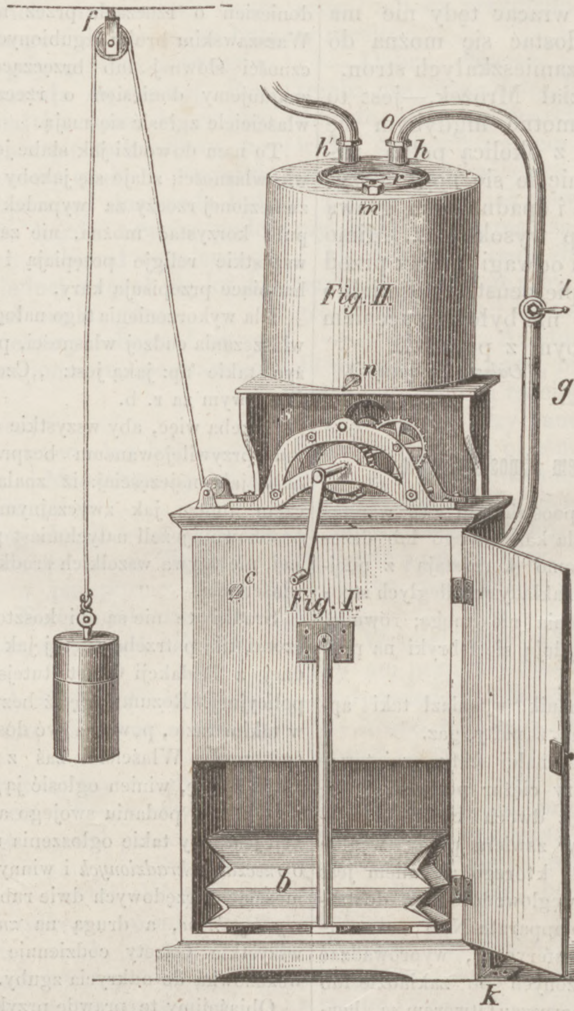
Gdyby w tym przypadku Redakcje miały osobne rubryki przez nas wyżej proponowane i czytywały ogłoszenia o zgubach w innych gazetach podawane, gdyby właściciel zamiast rozgłoszenia zguby gościom swoim, udałby się z nią do właściwej władzy,—wszystkie straty i możliwe ich skutki mogłyby być oszczędzone właścicielowi.

Jest to wprawdzie zmyślony wypadek, ale przy usposobieniu ogółu, który nieoddawanie rzeczy znalezionej tak lekko traktuje i przy obojętności tych, którzy przez swoje powołanie i zatrudnienie moralnie niejako obowiązani są zasłonić bliźnich od strat, wypadki takie mogą się istotnie zdarzać, a skutki mogą być jeszcze straszniejsze jak w naszej fikcji. Powtarzamy więc, iż pod tym względem prassa publiczna nie może być obojętnym widzem podobnych wypadków, pochodzących głównie z nieświadomości szczęśliwych znalazców, których oświecać jest jej głównym obowiązkiem.

— **Tegoroczny wylew Wisły.** Okropny był widok wezbranych fal Wisły, unoszących szybkim pędem powyrywane z korzeniami drzewa, całe stogi siana z siedzącymi na nich wieśniakami, bydło ryczące z przerażenia, psa przykutego do kłody drzewa i smutnym wyciem domagającego się ratunku. Rozhukana królowa rzek Polskich, rozbijała o most warszawski całe tratwy drzewa budowlowego, całe łazienki i całe massy krzaków płynących, jakby jaka mała wyspa. Nieoszczędziła też i ludzi. Pod Warszawą wyratowano dziecko w kolebce i czterech ludzi pędzących w łódce na śmierć, bez powstrzymania łodzi. Ale o ile wiemy, kilkoro też ludzi znalazło śmierć i grób na dnie rzeki, lub w jakich dołach przybrzeżnych.

Nadwiślańskie okolice Galicji, Królestwa i Pruss Zachodnich, ucierpiały także nie mało. Gwałtowny przypływ wody, porwał całe zbiory łąk, ledwo ustawione w stogi. Bydło niezdołało pouciekać, ludzie musieli się chronić na dachach chałup, a beczki, stołki, drzwi, okienice—porwała woda niosąc może w darze Baltykowi. Mało tego złego w tem co porwała, ale ileż złego wyrządziła nam Wisła zabraniem i zalaniem zbóż dochodzących, zamuleniem łąk, pozrywaniem mostów, grobli, wałów przybrzeżnych, zalaniem całych wsi i miasteczek. Któżby te szkody zdołał obliczyć, któżby zdołał ocenić wartość ludzi uśmierconych wodą Wisły.

I Warszawa nie została wolną od szkód jakie dotknęły kraj cały. Woda przedarła się nieobwarowanem miejscem przy dawnym moście, otworem przy alei Jerozolimskiej jak młyn parowy i nieobwarowaną ulicą Czerniakowską. Na ulicach Rybaki, Bednarskiej, Furmańskiej, Browarnej, Lipowej, Tamce, Czerniakowskiej, Solcu i kilku innych, stała woda na półtora łokcia i więcej nad bruk; w miejsce wozów i dorożek, pływały łodzie jak po kanałach Wenecji. Tylko że w Wenecji; w piwnicach i dolnych lokalach nie ma wody a w Warszawie i na Pradze woda lała się oknami na dole, grabiąc jak swoje: szafle, niecki, ławy, kuferki, zalewając wszystko i niszcząc co tylko mogło być zniszczonem. Na dachach stały łóżka, komody, zawiniątka z pościelą, a przy nich kobiety zasępione lub zapłakane z dziećmi ciekawie pryglądającemi się nieznanemu sobie widokowi. Tym czasem mężczyzni w łodziach lub zbitych deskach przewozili resztki utraconego mienia, uciekając do krewnych, znajomych, lub oddając się opiece Towarzystwa Dobroczynności. Mieszkańcy pośpieszyli z pomocą, niosąc wdowi grosz na wsparcie przypadkowo biednych braci. I jakoś nieszczęście łata się jako tako. Ale któż zdoła zwrócić wszystko co złego wyrządziła woda? Któż wróci zdrowie tym, którzy w skutek przemoczenia, przestrachu lub wilgoci, szwankować będą całe życie?



Przyrząd do oświetlania gazem atmosferycznym.

PSY i PRZECHODNIE.

BAJKA.

Dwaj przyjaciele o czemś
[gwarząc sobie,
Szli raz przez wioskę o wie-
[czornej dobie;
Wtem jakiś pokusa zażarty,
Zaszczekał na nich, wy-
[padłszy z za płota;
Za nim drugi, trzeci,
[czwarty,
I w jednej chwili cała
[psia hołota
Ze wszystkich zagród sy-
[pnęła za niemi,
I nuż ujadać i miotać się
[srodze!
Jeden przechodzień już w gniewie i trwodze,
Porwał co żywo spory kamień z ziemi,
Już się zamachnął.... ,,Dajcie pokój, kumie!
Wstrzymał go drugi,—na cóż to się zdało?
Kamień rzucony wrzawy nie przytłumi,
Gorzej rozdraźni tylko psiarnię całą.
Pójdźmy! ja lepiej znam psie obyczaje."
I w samej rzeczy: ledwie uszli staje,
Psy milknąc zwolna, umilkły nareszcie.
Tak samo ludzka zawiść, jak te psiska,
Z zajadłą wrzawą na wszystko się ciska;
Lecz wy kamienia do ręki nie bierzcie,
Idźcie, nie bacząc na jej psie szczekanie —
Zgraja powarczy, a w końcu przestanie. *Adam Pług.*

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.